GAWĘDY
i OPOWIADANIA



Nakładem Księgarni T. H. Nasierowskiego
Warszawa, Krucza № 32.

Gawędy i opowiadania

z życia obozowego

NASZYCH WIARUSÓW.

Zebrał

Swojesław.

WARSZAWA.
Nakładem T. H. Nasierowskiego.

1906.

DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 23 Января 1906 года.

STARY ŻOŁNIERZ POLSKI.

(Żołnierz wśród zawieruchy zbliża się do małej chatki i puka. Rok 1814.)

ŻOŁNIERZ.

Otwórzcie, proszę, biednemu,
Dmie wiatr, deszcz pada, grad bije,
Ach! otwórzcie znużonemu;
Skostniały, ledwie już żyje.

Nie wiele sprawię zachodu,
Pęk słomy, w końcu gospodu,
Kawałek chleba od głodu,
I kubek krynicznej wody?

GOSPODYNI.

Wnijdź starcze w poziome progi,
Dziel się naszym szczupłym zbiorem,
Ten dom chociaż ubogi,
Zawsze dla biednych otworem.

Wszedł żołnierz, wiek go przyciska,
Włos siwy, twarz jego blada;
Przybliża się do ogniska,
Szczudło na nogę zakłada.

Stawi mu na stół drewniany,
Niewiasta, co dom zawiera;
I na liczne jego rany,
Z politowaniem poziera.

Gdy skończył, rzecze mu tkliwie:
Tę ciężkie szramy na czole
Świadczą, żeś walczył straszliwie,
Cierpiał wiele, bardzo wiele.

ŻOŁNIERZ.

Ach! wiele — obozów znoje,
Mróz cierpki, skwarne upały,
Srogie więzy, krwawe boje,
Pasmo dni moich utkały.

Broń chwyciłem w dniach pamiętnych,
Gdy ma Ojczyzna konała,
W Maciejowic polach smętnych,
Pierwszy raz krew się ma lała.

Ranny, wtrącon w taras ciemny;
Nie dla mnie świeciło słońce,
Nie dla mnie księżyc odmienny,
Miotał promienie swe drżące.

Gdy spadły więzy — wśród szyków,
Gdy powiewał orzeł biały,
Szedłem z tłumem wojowników,
Dobić się śmierci lub chwały.

Nad Tybrem, Renem, Dunajem,
Gardząc razy śmiertelnemi,
U obcych walcząc za krajem,
Wszędym Polskiej szukał ziemi.

Widziały nas Nilu brzegi,
I na głazach Faraona,
Mężnych Sarmatów szeregi,
Wyryły Polskie imiona.

Do wyspy słońcem spalonej
Niosły nas morskie przestrzenie,
I w tej ziemi oddalonej;
Ciekły krwi Polskiej strumienie.

Sroższe nas trudy czekały —
Poszliśmy nad Wołgi brzegi,
Przez strasznych lodów zawały,
Dzikie puszcze, wieczne śniegi...

Wtenczas Bóg spojrzeniem groźnem,
Ukarał czyny zuchwałe,
Ścisnął ziemię szronem mroźnym,
I powietrze odrętwiałe.

Zatrzymał idących stopy,
Tryumf w żałobę obrócił;
I martwe ludy Europy,
Po śnieżnych stepach rozrzucił.

Przedwieczny i z tej mnie toni,
Na koniec cierpień zachował;

Jeszczem się wrócił do broni,
I z Poniatowskim wojował.

Byłem w ostatnich gonitwach,
Gdy nieszczęsny, ale mężny
Zwycięzca w tysiącznych bitwach,
Runął pan świata potężny.

Żem w utarczkach walczył śmiele;
I nie znał nigdy co trwoga,
Świadkiem te blizny na czole,
I urwana kulą noga.

Ojczyźniem dni me poruczył,
Długiemi trudy, cierpieniem,
I czegóżem się nauczył,
Zem się uganiał za cieniem?

Lat dwadzieścia uleciało,
Jakem losami miotany,
I cóż w starości zostało?
Ten płaszcz stary, kij i rany.

Godzina moja upływa,
Spełnią się nieba wyroki,
Ty niewiasto litościwa,
Rzuć garść ziemi na me zwłoki...

J. U. Niemcewicz.

KAPRAL TEREFERA
i
KAPITAN SZERPENTYNA.

Gawęda żołnierska.

Przez

Władysława Syrokomlę.

I.

Ej, żołnierka chleb to twardy
A jak wspomnisz mimo chęci,
Jakbyś łyżkę zjadł musztardy,
Tak na oczach łza się kręci.
Boć to młodość — taka może
Jak dziś widzisz pan dobrodziej ?!
Niedopuszczaj Panie Boże!
Gdzie się podział hart u młodzi!
Bladzi, wątli, ani siły,
Ani w sercu, ani w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

II.

Dziś u starca w sercu, w oku,
Jak widzicie, ognia dosyć;
A cóż we Dwunastym Roku,
Gdy szabelkę przyszło nosić?

Patrz ten krzyżyk — też go przecię
Wysłużyłem ciężką pracą:
A jeżeli słuchać chcecie,
To opowiem, jak i za co?
Ej! to panie, czasy były!
Głodu, chłodu, jęku, brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

III.

Z pod Smoleńska nasza wiara
Żwawym marszem w odwrót kroczy;
Rzadko który miał suchara,
A gorzałki — ani w oczy!
Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieście! —
Zapalono krzyż z mogiły,
Nuż się tłoczyć przy ognisku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IV.

Ostąpiły z każdej strony
Tłumy ludzi jakby fale:
I Żmudziny i Gaskony,
I Krakusy i Westfale.
Ot i spłonął stosek drzewa;
Więc chróśniaki zbiera tłuszcza,

I przeklina, piosnki śpiewa,
I z fajeczki dym wypuszcza.
Kto chciał zasnąć, legł bez siły
Na tornistrze albo łęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

V.

Legł i nie wstał — chyba wstanie
Na dolinę Józafata!
Na kamrackie pożegnanie
Zmówim pacierz za kamrata,
Śnieg rozkopiem choć pałaszem
I zasypiem oczy śmiałka!
Boć to, widzisz, w pułku naszym
Pacierz krzepił — jak gorzałka.
Insze pułki nie wierzyły,
Że jest przyszłość w bożych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VI.

Myśmy mieli kapitana,
Co nas jeszcze trzymał w wierze,
I bywało co dzień z rana
Każe mówić trzy pacierze.
Co do postów: gdy golizna,
Nolens volens, człowiek pości —
Kapitana czci starszyzna,
A kochają strzelcy prości.

Był to sobie dziad pochyły,
Mówił z cicha, pomaleńku ...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VII.

Choć potulna zda się mina,
Licho groźne, i uparte;
Miał przezwisko Szerpentyna,
Bo się panie rąbał *arte*!
Dla żołnierza pierś otworzy,
Grosz ostatni wydobędzie,
Po za frontem — człowiek boży,
Ale szatan na komendzie!
Głos mu bucha jak z baryły,
Wali płazem mimo jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VIII.

Z pod Smoleńska, uważałem,
Że coś stary idzie chromo;
Czy raniony może strzałem,
Czy się znużył nie wiadomo.
Bo to szatan w nim się mieści!
Tak był twardy w swojej roli,
Choćby skonał od boleści,
Nie dopytasz co go boli!
Przeskakuje śnieżne bryły,
Brnie przez śniegi z bronią w ręku,

Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IX.

Gdy ruszono z stanowiska,
Stary krzyknął: — „Broń na ramię!“
Patrzę, tylko brwi naciska,
Chce grać zucha, — ale kłamie.
Sprawił wiarę do szeregu,
I sam naprzód w marsz ochoczy.
Ale widzę ślad na śniegu,
Że jegomość krwią się broczy;
Coś się chwieje jak napiły,
Coś się kurczy jakby w sęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

X.

Dobył chustki, siadł na drodze
I obwiązał chorą nogę;
Ja to widzę, więc podchodzę,
Myśląc, że coś dopomogę.
Lecz jak krzyknie stary gdera:
— „Co się troszczyć cudzą raną!
„Do szeregu, Terefera!”
(Tak mię w pułku nazywano).
Aż się oczy zaiskrzyły,
Aż mu pałasz skrzypnął w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XI.

A w Imię Ojca i Syna,
Jakie licho złe i dumne!
Powstał z ziemi Szerpentyna
I nuż kulać przed kolumnę.
Choć cierpienia nie okaże,
Lecz to widzą wszyscy z dala;
Krwią oblały się bandaże,
A znużenie z nóg obala;
Starzec goni resztką siły,
Lecz nie wyda z piersi jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XII.

Ot nie wytrwał — jęknął szczerze,
Zachwiał się i padł jak długi!
Przyskoczyli doń żołnierze,
Z dziesięć ramion na usługi.
Sam widocznie iść nie może,
Chce go unieść oddział cały:
Bo furgony, żal się Boże,
Gdzieś w Smoleńsku pozostały
Nosze z płaszczów się zrobiły
I uplotły z chróstów pęku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIII.

Lecz się stary już wyzwierzy,
Rzekłbyś tygrys z jego miny:

— „Cóż to? cały pułk żołnierzy
„Ma się późnić z mej przyczyny?
„Precz odemnie! marsz do szyku!
„Rozkazuję to pod gardłem.
„Słuchaj mości poruczniku!
„Podaj raport, że umarłem.
„Nie kopajcie mnie mogiły,
„Nie potrzeba trąby brzęku!”
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIV.

Pan porucznik westchnął smutnie
I szeregi powiódł w pole.
Myślę sobie: Choć łeb utnie,
Ja mu zginąć nie pozwolę!
Więc zostałem — i nie tchórzę,
I powiadam: — „Kapitanie!
„To się za nic stać nie może,
„Pan w tem polu nie zostanie.“
— „Cóż gdy kroczyć nie mam siły!”
— „Ja poniosę pomaleńku.”
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XV.

— „Precz mi z radą i pomocą!
„A nie przywódź mię do złości.
„Mną się trudzić nie ma po co,
„Ty masz swoje powinności.

„Uważałem Terefere;
„W tym plutonie są rekruci,
„Dzierżą bagnet jak siekierę,
„Maszerują jakby skuci;
„Trzeba, aby się rozwiły
„Władze w nogach, zręczność w ręku."
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVI.

„Jestem ranny — po krwi stracie
„Tak mi słabo!... skończę życie...
„Słuchaj, dobry mój kamracie,
„Jak do domu powrócicie,
„Wiesz, zaścianek, tam... przy Niemnie,
„Kędy matka moja żyje,
„Schodź, pożegnaj ją odemnie,
„Oddaj krzyżyk z mojej szyje;
„Opatrz domek mój pochyły
„I dwa ule przy okienku..."
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVII.

„W ładownicy cała nędza:
„Jest tu mały groszów worek
„To mi zanieś gdzie do księdza,
„Poproś dla mnie o paciorek!
„Matce powiedz, niech nie płacze,
„Bom nie zginął jako podli,

„A do frontu zbierz rębacze,
„Niech się każdy z nich pomodli!
„Spiesz, bo wojska już się skryły,
„Już nie słychać broni szczęku."
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVIII.

—„Dobrze! dobrze!—ja doń mówię—
„Nie gadajmy o tem wolej,
„Jak da Pan Bóg czas i zdrowie,
„Wszystko pójdzie w swoją kolej.
„Teraz lepiej, mojem zdaniem,
„Kapitana wziąć na plecy,
„Do szpitala się dostaniem,
„Kędy leczą się kalecy.
„Tuby śniegi was zakryły,
„Tubyś skonał na tym pieńku."
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIX.

Jak ofuknie się z hałasem,
Jak zaiskrzy się, zapłonie:
— „Patrz: kolumna już pod lasem
„Twoje miejsce przy plutonie.
„Spiesz dopędzić towarzysze:
„Za zbiegostwo areszt, kula!"
Ja udając, że nie słyszę!,
Sadzę na mój kark dziadula.

On się zwija z całej siły,
Grozi, krzyczy na mych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XX.

Myślę sobie: Mniejsza o to,
Niech się złości, będę znosić!
Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
W śniegowiskach trudno dosyć!
Człowiek spocznie sobie chwilę
I marsz naprzód, aż łeb potnie;
Do wieczoru ze trzy mile
Przetrzepaliśmy samotnie.
Stary wparł się w grzbiet pochyły,
Ani słówka... ani stęku...
Jezu Chryste, panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXI.

Po za wojskiem w całej drodze
Tu i owdzie ogień błyska;
Albo trupa gdzie znachodzę,
Albo ślad obozowiska.
Miałem w torbie dwa suchary,
To podróżny zapas cały,
Na popasie zjadł mój stary,
I wychylił haust gorzały.
Gdy się płuca pokrzepiły,
Zyskał humor pomaleńku.

Jezu Chryste, Panie miły.
Terefere tatuleńku!

XXII.

Już pod wieczór, widzę z dali
Jakieś wojsko ciągnie chmurą,
A konnica naprzód wali.
Szerpentyna rzekł ponuro:
— „Widzisz trutniu, co to czeka,
„Kto rozkazy poniewiera;
„To kozactwo... nas rozsieka...
„Marnie zginiesz, Terefera!
„Patrz, swawole co zrobiły!
„Byłbyś z braćmi, z bronią w ręku!"
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere taluleńku!

XXIII.

„Żal mi ciebie... dziatwy twojej...
„Pan Bóg skarał cię wyraźnie!...
„Lecz poczekaj... wszak to swoi...
„Ja ci zaraz sprawię łaźnię!"
Patrzę tedy... aż tu jedzie
Huf porządnie szykowany,
Z dala działa, a na przedzie
Mameluki i hułany.
Aż od śniegu lecą pyły,
Aż powietrze drga od brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIV.

Ot na białej, dzielnej szkapie
Jakiś jeździeć ku nam kroczy:
W szarej kurtce; w nizkiej czapce,
Co mu spada aż na oczy.
Patrzę pilno... i struchlałem...
— „Broń prezentuj jak na wartę!”
Krzyknął kapitan z zapałem—
— „To sam cesarz Bonaparte!”
Szerpentyna jak odżyły
Na śnieg skoczyl z moich ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXV.

To był cesarz... nie inaczej;
Wstrzymał konia, spojrzał groźno
I zapytał: — „Co to znaczy?”
„Gdzie wasz oddział? co tak późno?”
Myślę sobie: Czym półgłówek,
Żeby zaraz tracić serce?
(A francuzkich kilka słówek
Nauczyłem się w żołnierce).
Więc zdobywam się na siły
I powiadam bez zajęku:
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVI.

Od początku, z tęgą miną
Całą sprawę mu wywodzę:

Co się stało z Szerpentyną,
Jak raniony padł na drodze,
Jakem kwapił się z posługą,
By go unieść do szpitalu.
Cesarz słuchał — słuchał długo,
I rzekł: — Brawo, mój kapralu!"
Aż mu oczy zaiskrzyły
Jakimś ogniem pełnym wdzięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVII.

Potem spytał Szerpentyny:
Jak się zowę, jak prowadzę?
I mój kapitan jedyny
Dał świadectwo mej odwadze,
Już się znaczno, że nie dąsa,
W rozrzewnieniu pozbył złości.
Jednak mruknął coś z pod wąsa
O wojskowej niekarności;
Lecz się usta nie ruszyły,
Nie wydały głośno dźwięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVIII.

Do swych piersi cesarz sięga —
Dał mi krzyżyk... o rozkosze!
Patrzcie dzieci, to jest wstęga,
A na ciele sam krzyż noszę!

A jak umrze Terefera,
Weń ustrójcie go na mary,
Niechaj moją pierś ubiera,
Niech ozdabia mundur stary:
Poszanujcie u mogiły,
Bo był trzyman w dobrych ręku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIX.

Więc potrząsłem hardo czołem,
Aż mi w oczach promieniściej:
— „Wiwat cesarz!" — wykrzyknąłem,
Zawtórzyli mi gwardziści.
Nas zabrano na furgony,
Do szpitalów przyszli z rana.
Bóg niech będzie pochwalony,
Wyleczyli kapitana!
Teraz słyszę człek zażyły,
Gospodarzy przy Niemenku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXX.

Cóż myślicie o tym gderze?
Gdy do zdrowia przyszedł wreszcie,
Za niekarność Tereferze
Trzy dni kazał być w areszcie.
— „Cesarz" — mówił — wynagradza,
„Bo poczciwym szedłeś torem;

„Ale bratku moja władza
„Naruszona twym uporem.
„Choć wyrwałeś mię z mogiły,
„Nie popuszczę władzy z ręku!”
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXXI.

Słusznie mówił — bo mospanie,
Czy wodzowie, czy to prości,
Kiedy rozkaz człek dostanie,
Pilnuj ściśle powinności.

* F. *

Tak powiadał Terefera,
Siedząc w progu niskiej chaty;
I rękawem łzy ociera,
I wywija kij sękaty,
I łeb siwy, łeb pochyły,
Zadumany wsparł na ręku —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Czesław Jankowski.

NAPOLEON W OSZMIANIE.

z opowiadań kapitana Terefery.

Zbytecznie niemal zaznaczać, że niniejsze opowiadanie stanowi niejako dalszy ciąg przepięknej gawędy Syrokomli pod tytułem: „Kapral Terefera i kapitan Szerpentyna”, i że ma podkład ściśle historyczny. Cesarz Napoleon, rozstawszy się z armją w Smorgoniach o 8-ej wieczorem, dnia 5 grudnia (23 listopada 1812 roku, wysłał przodem do Oszmiany adjutanta swego Stanisława hr. Dunin-Wąsowicza. Sam Cesarz przybył do Oszmiany dnia tegoż około północy. Z Oszmiany do Równego Pola — wiorst 15—eskortowali cesarza ułani, w liczbie 266, pod dowództwem Stojkowskiego. Do Równego Pola dojechało ich tylko 36; mróz 28-stopniowy zwalił z konia

230. Pomyślny dla Napoleona wynik hazardowej przeprawy z Oszmiany do Równego Pola przypisują, raz nocy dość ciemnej, a powtóre temu, że mróz obezwładnił rozsiane wzdłuż drogi nieprzyjacielskie czaty. Tejże nocy pułkownik Siesławin uderzył na Oszmianę i zmusił komendanta garnizonu, Wirtemberczyka, do cofnięcia się za miasto. Gdyby cesarz, poszedłszy za rada swej świty, zatrzymał się był bodaj na godzin parę w Oszmianie, byłby niechybnie pojmany. Hr. Wąsowicz opisał szczegółowo ów epizod w pamiętniku swoim, z którego korzystał Bourgoing, sam naoczny świadek odjazdu Napoleona ze Smorgoń, późniejszy ambasador dworu Burbonów w Petersburgu. (*Souvenirs d'histoire contemporaine. Paris, 1864*). *Cz. J.*

* *
*

I.

...Powiadajcież nam ojczeńku,
Jak to tedy było dalej,
Jakeście się z bronią w ręku
W swoje strony przedostali.

My i słowa nie uronim!
Cesarz sam był w tej topieli
Powiadajcież, ojcze, o nim:
Gdzieście jeszcze go widzieli?
Słyszę, boskie zmiłowanie
Z rąk wyrwało go rębaczy...
—Ma się wiedzieć! Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej!

II.

Dobywając resztek siły,
Szły kolumny skrzepłe srodze.
Które luzem się puściły,
Wyginęły w pień po drodze;
Insze włokły się gromadnie,
Uścielając trupem pola —
Nie liczono ilu padnie.
Bo śmierć lepsza, niż niewola;
Byle oddział gdzie przystanie,
Już, go patrol zniósł kozaczy...
Jezu Chryste, miły Panie,
Tak, akurat, nie inaczej.

III.

I starszyzna i wodzowie
Popuścili władzy z ręku,
Szło w śmierć jawną ludzkie mrowie
Bez oporu i bez lęku.
Popalono nam sztandary,
Broń z skostniałych dłoni leci,

Osowiałe, straszne mary
Majaczyły wśród zamieci;
Czasem tylko trąbki granie
Błędnej drogi szlak zaznaczy...
Dobrze mówię, Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

IV.

Aż dowlekliśmy się ławą,
Jak dziś pomnę, pod Smorgonie
Zachód łuną ziewał krwawą
Wioski, lasy w mojej stronie.
W oczach łzy się zakręciły,
Chwycił serce żal jak w kleszcze
Jezu Chryste, Panie miły,
A któż z moich żyw tam jeszcze?
Chyba wyjdzie na spotkanie
Dziad i poda kij żebraczy...
Ma się wiedzieć Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

V.

Dalej! Naprzód! Do szeregu!
Wybijają marsz dobosze.
Dziś nie będziem mieć noclegu
Z trudem z ziemi się podnoszę,
I zwiesiwszy ciężką głowę,
Znowum wlókł się po omroczu.
Rychło ognie miasteczkowe
Poznikały nam z przed oczu,

A mróz cisnął niesłychanie,
Że aż ścinał dech trębaczy.
Jezu Chryste, miły Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

VI.

Wiatr z szatańską zadął mocą,
Trakt całutki w pas zawiany,
Nawpół żywi, późną nocą
Zbliżamy się do Oszmiany.
Bogu chwała! Ciepłe kąty.
Dachy, ognie! Dusza żywa!
Jeden, drugi i dziesiąty
Już biedz naprzód się porywa...
Wtem—stój! Równaj się, mospanie!
Jak nie gruchnie grad kartaczy...
Jezu Chryste, miły Panie,
A do kroćset! cóż to znaczy?

VII.

W poprzek drogi szwadron leci,
A od flanku plują działa.
(Już był ustał pęd zamieci
I miesięczna noc nastała).
Patrzym—nasi. Co za licho!
Wrzawa, salwy, dym armatni—
W trzy pacierzy znowu—cicho...
Tfu! czy wpadliśmy do matni?
Masz tu nocleg, masz tu spanie,
Toć batalia jawna raczej.

Ma się wiedzieć, Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

VIII.

Więc sprawiwszy, jak się dało,
Ludzi naszych do szeregu,
Czujnie, bacznie ale śmiało
Pomaleńku brniemy w śniegu,
Ledwie weszliśmy w ulicę,
Ostąpiły nas patrole,
A na łąkach lśnią krucice
I niemieckie brzmią parole.
Choć szwargoczą niesłychanie,
Bies ich pojmie, co to znaczy!
Dobrze mówię, Chryste Panie,
Tak akurat nieinaczej.

IX.

Choć to Niemcy, wszystkoż swoi,
Bo z honorem przy nas stali.
Ot, załoga, patrzym, stoi
Już gotowa do batalji.
W rynku tłok, ścisk—zboże z chwa-
Między wojsko lud się wdziera. [stem!
Nieprzyjaciel tuż pod miastem,
A Stojkowski go odpiera.
Wpadli dońce niespodzianie,
Lecz na franta nie brak graczy...
Dobrze mówię, Chryste Panie.
Tak, akurat, nieinaczej.

X.

W mig odparto atak z chwałą.
Gdy ucichło nieco w mieście,
Nuż nas pytać: „Co się stało?
A gdzie cesarz? Skąd jesteście?“
Powtarzano różne baśnie,
Myśmy dali znać dopiero,
Że tej nocy cesarz właśnie
Sam w Smorgoniach stał kwaterą,
Że już świty biegą sanie,
Że już konie straż kulbaczy.
Ma się wiedzieć, Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

XI.

Nieinaczej, że na Wilno
Cesarz przodem armii zmierza,
Pomoc wezwie nieomylną,
Zawrze nowe tam przymierza,
Miecz raz jeszcze ciśnie w szalę
I przeważy ją raz jeszcze...
Nasrożyły się wąsale,
W krwi im skrzepłej grają dreszcze:
Wielka armia zmartwychwstanie!
Złote orły świat zobaczy!
Jezu Chryste, miły Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

XII.

Gdy tak gwarzym, z chrzęstem sanie
Walą wprost przed kordygardę.

Jedzie w sutym ktoś dołmanie,
Ruchy zwinne, słowa harde,
Kto jak może się dociska.
Sam generał raport składa
Na dwa kroki stałem z blizka—
O cesarzu przybysz gada:
Za godzinę tutaj stanie,
Sam rozkazy wydać raczy...
Dobrze mówię, Chryste Panie.
Tak, akurat, nieinaczej.

XIII.

Tuż i prefekt nadbiegł skoro,
Weszli w izbę wszyscy troje.
Myślę: Niech tam! taką porą
W progu sobie tu postoję.
Przed cesarzem moim stanę,
Krzyż na piersiach mu ukażę
I od piki w biodrze ranę,
No i—pójdę gdzie rozkaże!
Tylkom życie dać mu w stanie..
Jedno życie... cóż mu znaczy!
Ma się wiedzieć, Chryste Panie
Tak, akurat, nieinaczej.

XIV.

No, i tejże jeszcze nocy
Jam go widział! Z świtą małą.
Jechał w ciężkiej swej karocy,
Nieco gwardji straż trzymało..

Wnet się tumult wszczął dokoła.
Cesarz wysiadł. Spał, jak słyszę.
Adjutanta ręką woła:
„Mapa!“—Dano.—Patrzy, pisze.
Rzuci krótkie zapytanie,
A Wąsowicz coś tłómaczy...
Jezu Chryste, miły Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

XV.

Tak go oczy me widziały,
Jak mnie oto tu widzicie.
W szubie; sznury migotały
Na zielonym aksamicie;
Pod kołpakiem lico blade—
Wciąż potrząsa białą dłonią
I powtarza: „Jadę! Jadę!
Noc i straże mnie osłonią;
O eskorcie mieć staranie,
Bo tu tęgich trzeba graczy...“
Dobrze mówię, Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

XVI.

Reflektują—nic nie zważa.
„Straż?“—„Ułani na komendzie.“
Skrami sypnął wzrok cesarza.
„Ilu?“—pyta.—„Dwustu będzie.“
To aż twarz mu pokraśniała,
To aż porwał się na nogi,

I zawoła: „Bogu chwała!
Tom pomyślnej pewny drogi.
W konie!!“—Już na stopniu stanie,
Nawet skinąć nam nie raczy...
Ma się wiedzieć, Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej.

XVII.

Podskoczyli wnet żołnierze,
A Stojkowski sprawia wiarę.
Z rąk mamluka cesarz bierze
Pistoletów lśniących parę,
I podając mu, w głos prawi:
„Nie daj zginąć mi nikczemnie!
Gdy już żadna moc nie zbawi,
Pewną ręką celuj—we mnie.
Parol na to, kapitanie?
Cesarz każe—Bóg przebaczy...“
Jezu Chryste, miły Panie,
Tak, akurat, nieinaczej!

XVIII.

„Wiwat cesarz!—rykną nasi:—
Wpierw porąbać siebie damy!
Rychlej śmierć nas w pień wygasi,
Niżli dożyć takiej plamy!“
Śnieg rozbiły w puch kopyta,
Chrzęsły szable, błysły blachy—
Ruszył cesarz, za nim świta,
Już zapadli między dachy;

Tylko głuche łopotanie
Coraz ciszej ślad ich znaczy...
A ja szepczę: „Chryste Panie!..."
I zaciskam pięść z rozpaczy.

XIX.

Tam mój cesarz! tam w tej matni!
W śmierć niechybną śmiało zmierza!
Już odstąpić mam krwi bratniej?
Przy nim miejsce dla żołnierza!
Więc naoślep, nieprzytomnie,
Broń na ramię i—marsz biegiem.
Nie zatroszczył się nikt o mnie,
Każdy raczył się noclegiem.
Myślę—dognam, gdy tchu stanie,
Lub nie sprzątnie rond kozaczy...
Jezu Chryste, miły Panie!
Tak, akurat, nieinaczej.

XX.

Ha, mospanie, Boża wola!
Już dopadam do rogatki,
Już przedemną śnieżne pola.
Już ostatnie mijam chatki—
Patrzę—koń samopas bieży.
Nasz! ułański—wnet poznałem:
Na głos idzie, zdrów i świeży.
Siadam, zwracam, puszczam cwałem
Z koniem w spadku po ułanie
Dziarskość nową Bóg dać raczy...

Jezu Chryste, miły Panie,
Tak, akurat, nieinaczej!

XXI.

Bo dopieroż mróz straszliwy
Jął przebierać ostro kości!...
Wokolutko—śnieżne niwy,
A wśród martwej tej bladości—
Czy wzrok myli? Tfu, za katy!—
Ongi nasiał jakby maku.
Ot, tam, wrogów gęste czaty
Wzdłuż gościńca leżą szlaku.
Ażem struchlał, patrząc na nie:
Cesarz prosto w nie zahaczy!
Ma się wiedzieć, Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej!

XXII.

Kropię naprzód. Nuż dogonię,
W czas przypadnę, gdy się chwycą;
A karabin ściskam w dłonie,
A wiatr smaga prosto w lico.
Mróz mi władzę w członkach kruszy,
I sztywnieją dziwnie nogi,
A ułanów moc, bez duszy,
Już się wala koło drogi.
Mróz powalił... Chryste Panie!
Trup za trupem drogę znaczy...
Wieczne-ż im odpoczywanie—
Ha, nie mogło być inaczej!

XXIII.

Aż nareszcie... Hen, przy lesie
Czarna kupa, w czambuł zbita,
Powolutku w górę pnie się,
Środkiem chwieje się kareta.
Cesarz! nasi! żywi, cali!
Jadą cicho, pomaleńku,
Głos nie zabrzmi żaden z dali,
Ani błysku, ani szczęku—
Jakieś straszne koczowanie:
To upiorów pochód raczej...
Dobrze mówię, Chryste Panie,
Tak, akurat, nieinaczej!

XXIV.

Złotych orłów gdzie tumany?
Gdzie ziejące ogniem tłuszcze,
Co zleciały z nad Sekwany
W nadniemeńskie głuche puszcze?
Wśród piekielnych, ot, bezdroży
Kroczy cicho władca świata—
Hardy duch się nie ukorzy,
W serce lęk nie zakołata;
Duch się wzbija nad otchłanie,
Ponad błędny szlak tułaczy...
Jezu Chryste, miły Panie,
Tak, wam mówię nieinaczej!

XXV.

Widzę we mgle śnieżnych puchów
Noc—i leśne te rubieże,

I tę garstkę dzielnych zuchów,
Co cesarza swego strzeże.
Mróz rozkrusza ich powoli,
W śnieg jak snopy jeźdźce wali—
Lecz cesarskiej wierni doli,
Do ostatka z nim wytrwali.
Z ziemi tej na pożegnanie
Niechże jeszcze przyjąć raczy
Dań ostatnią... Chryste Panie!
Tak to u nas, nieinaczej!

XXVI.

W Równem-Polu rozwidniało,
Włoska gwardja straż zmieniła.
Lecz z ułanów naszych—cało
Ledwie garstka tam przybyła.
Tu dopiero znać im dano,
Że—do Francyi cesarz wraca...
Nadaremnie krew przelano,
Bohaterska za nic praca!
Tejże nocy po Oszmianie
Zabuszował tłum kozaczy...
Uszedł cesarz... Chryste Panie!
Cudem uszedł—nieinaczej!

XXVII.

Ale o tem, co wam mówię,
Znacznie później wieści miałem.
Koń mój w śnieżnym padł parowie
(Snadź już ranny był postrzałem).

Utraciłem naszych z oczu
I powlokłem się skostniały:
Do biwaków na uboczu,
Kędy ognie przebłyskały.
Nieprzytomny szedłem na nie
Z chłodu, głodu i rozpaczy:
Niech dobiją!... Chryste Panie!
Tak, akurat, nieinaczej!

XXVIII.

U jakiegoś tam ogniska
Padłem, roniąc duch ostatni.
Śmierć zajrzała w oczy z blizka,
Tuląc cicho w uścisk bratni...
Kiedym ocknął się z omdlenia—
Boże wielki!—Śnię czy marzę!?
Polskiej mowy słyszę brzmienia,
Swojskie w koło widzę twarze...
Boże! Twoje zmiłowanie...
W mig odgadłem co to znaczy...
Ma się wiedzieć, Chryste Panie!
Tak, akurat, nieinaczej!

XXIX.

Nakarmiono mię... odziano...
Ale parol z jeńca wzięto.
Miałem chatkę pod Oszmianą,
Ojcowiznę moją święta.
Tam mych zbawców tedy wiodę,
Wypłacając dług wdzięczności.

Odtajały serca młode —
Łzą żegnałem moich gości.
Wieczna pamięć mi zostanie
Z tych dni chwały i rozpaczy...
Jezu Chryste, miły Panie!
Tak, akurat, nieinaczej!

XXX.

Zamilkł stary. Wzrok mu pała—
Kark prostuje, pierś wydyma;
W duszy przeszłość zmartwych-
I majaczy przed oczyma. [wstała
Werble, salwy grzmią po błoniu,
Lśnią sztandary w szmaty zdarte,
A na siwym stoi koniu
Przed nim cesarz Bonaparte,
I na starca łeb pochyły
Dłoń opuszcza pomaleńku...
Jezu Chrystz, Panie miły!
Terefere tatuleńku!

WINCENTY POL.

GAWĘDA DOROSZA
wachmistrza szwadronowego.

Czy też licho nadało,
Służyć z taką ruchawicą!
Służby żadnej — ducha mało,
Tylko starym bakę świecą —
Sama szlachta, same pany.
A człek tylko wachmistrz sobie.
Lecz choć lichy i nieznany,
Za pułk cały służbę robię.
Człek się musi napracować,
Nieraz pocę się ze sromu,
Bo gdy przyjdzie rozkazować,
A tu słuchać niema komu.
Nieraz krzyknę: „Stać, komenda!"
Gdzie tam, panie, im to w głowie!
Szwadron się gdzieś po wsi swęda,
Lub jak skuty chrapie w rowie,
W całym pułku dawnej daty
Człowiek jeden, aż nie miło —
Gdzieś wymarły stare chwaty;
Nie tak, panie, przedtem było!

Mój pułkownik, żołnierz stary,
Nie dzisiejsza nasza drużba,
Tęgi człowiek, zna co służba —
Cóż gdy niema dawnej wiary!
Z rekrutami trudna sprawa,
Bo gdy cały pułk sąsiady,
Więc gawęda, rada, wrzawa,
A dwóch tylko nieda rady.

Nieraz każę, gdzie wypada —
Ten przyzywa wnet sąsiada:
„Słuchaj hrabio, hej panowie!
Czyśmy na to tu zjechali,
Niechaj każdy z panów powie,
Abyśmy na deszczu stali?“

I zastawia się sąsiadem,
Bo ma w wojsku szkapę własną,
Z takim pułkiem, z takim ładem:
Niech pioruny w ten pułk trzasną!

Choć posłucha nawet który,
Zajmie pocztę i nie gada,
To jak wymknie z jakiej dziury
Gdzieś tam kozak, krzyknie „zdrada!“

A to darmo, ja inaczej
Stawiać pikiet już nie umiem,
Ani wojny nie rozumiem —
Jakżeż jeden wszystko znaczy.

Biada, młodzi na mnie liczą,
Walą jak na szkapę siwą,
Niby starsi na mnie krzyczą:
—„Nuż Doroszu ruszaj żywo:
Dorosz patrol dziś prowadzi
I języka się postara;
Dorosz, a czy kute konie?
Dorosz na sąd i do rady,
Dorosz służbę zna w szwadronie.“

Słowem, panie, mówiąc krótko,
Hasłem w pułku imię moje,
Brzmi z wieczorem, brzmi z pobudką
Dzień przejeżdżę, noc przestoję—
Bo to mało ważą młodzi,
Że się w służbie wiek strawiło,
Że się starych uczcić godzi —
Nie tak panie, przedtem było!

Jeszcze służba obozowa
Jaka taka, pół z nią biedy,—
Ale wtenczas panie kiedy
Już o boju przyjdzie mowa,
Wolałbym się z baby wadzić,
Albo jeszcze i co więcej,
Niż do boju poprowadzić
W dobrym szyku pułk panięcy,
Bo tu ogień, a tu rada,
I tak słowem zawsze jedno —
Na deresza Dorosz wsiada
I harcuje szkapę biedną.

Już tam sobie nie żałuję,
Choć i moja krew nie woda —
Alećkonia, panie, szkoda,
Bo to mi się koń marnuje.
A tam każdy ma wymówki,
Bo ten wrócił od placówki,
A ten chory, a ten ścięty,
A czwartego koń ustanie,
A piątego źle podpięty,
A nie jeden stchórzył, panie.

Wtenczas pochlebstw już bez liku.
—„Nuż Doroszu, stary ćwiku,
Nasze stopnie, to androny —
Wasze,— żołnierz doświadczony.“
—„Wasze, wasze, no dość tego,
Już to wstyd dla młodej wiary
Kiedy chwalić trza starego —
Ale swoje zrobi stary.”

A więc ruszam wprzód plutonem,
W pierwszą lepszą wpadam lukę,
I rznę sobie po dawnemu
Moją, panie, starą sztukę.
Lecz gdy tylko bój ustanie,
Zaraz stracę na walorze,
Wtenczas to nikt starych, panie,
Za stworzenie niema Boże,
Bo my starzy nic nie czujem,
I jakiegoś ducha czasu
Wyschłym mózgiem nie pojmujem.

Co to znaczy, wiedzą kaci —
Bo to odkąd w świecie żyję
U mnie duch, co dobrze bije,
A czas to, co dobrze płaci.
Ale u nich to ten tęgi,
Kto gardłuje całą siłą,
A kto schlebia godzien wstęgi;
Nie tak, panie, przedtem było.

Raz, pamiętam, tak się darzy,
Gdyśmy stali w przedniej straży,
Każdy się jak w matni kręci
Bo wiedzieli co się święci.
Niemiec prawie nas otoczył,
A jednak odciąć nie zdołał;
Mój pułkownik, gdy to zoczył,
Wnet do siebie mnie zawołał
I rzekł do mnie: — „ot wiesz stary,
Bo się niemam kim usłużyć,
Dwóch nas tylko z starej wiary,
Trzeba będzie wrogów zdurzyć,—
Jedź do sztabu, weź papiery,
Zdaj wodzowi raport szczery,
Niech też o nas przecie radzą,
Bo nam djablą łupnię dadzą“

On rzekł,—jam się kopnął cwałem,
A nie byłem nigdy w sztabie,
Wódz, nie żarty— pomyślałem,
Szlify wodza to nie grabie.
Nuż człowieka na czem schwyta,

Trzeba mu się odciąć sprawnie,
Nuż z nienacka się zapyta:
—Jak—zapyta służysz dawno?
Kiedyś dostał krzyż francuzki,
W wojnie włoskiej, czy też pruskiej?
Czyś tam kontent z młodej wiary,
A pułkownik, czy zdrów stary?
Czy też wszystko was dochodzi?
Co się dzieje, czy wróg godzi.
Czy są działa, jest piechota,
A na skrzydłach las, czy błota?
Słowem, wszystko pomyślałem.
Kontent, ruszam, wiatry wieją,
Czasem spojrzę, są depesze,
A mój deresz sobie czesze,
Aż się wszyscy djabli śmieją.

I stanąłem w sztabie rankiem,
A starłszy czoło ze znoju,
I rznę prosto do pokoju,
„Gdzie wódz? — pytam
— Czyś zwarjował,
Któż o wodza tak się pyta,
Znać żeś w pułku się wychował.
Gdzie wódz,—rzekłem—mów i kwita
—To żołdactwo, to natręty;
Wódz śpi jeszcze, bo dzień chmurny.
— A szef sztabu? — Szef zajęty —
— A dyżurny?— Śpi dyżurny,
— Mój tu przyjazd nie wizyta,
Przez noc całą do was czeszę

Słuchaj, panie, mam depesze—
Zbudzić służbę, ot i kwita."
Ja tak rzekłem, on się zdziwił,
Stuknął mruknął, nosem skrzywił,
I samego mnie zostawił.
Alem się nieźle ubawił,
Bom stał ze trzy godzin w sieni,
A trzy godzin to nie mało,
Gdy człek głodny po bezseni,
Więc mi się na sen zebrało.

Jednak myślę poniewoli,
Co też długo wódz tak robi,
Pewnie jaki plan sposobi —
Aż tu słyszę, wódz się goli.
Niechaj goli kiedy goli,
Bo i naszych panie golą,
A Prusacy nie swawolą,
Kiedy biją djable boli.
Wreszcie dano znak: śniadanie —
W jednej chwili, szastu—prastu,
I wypada do mnie, panie,
W okularach siedemnastu.
Wyszedł orszak okazały,
Wszyscy smacznie zajadali,
Po francuzku rozmawiali,
I perfumy zapachniały...
Tu się widzę, nie źle dzieje,
Bo też tylko wino płynie,
A tam krew się nasza leje,
Ach! i pułk mój może ginie.

Żal mi było pułkownika —
O depesze nikt nie spytał,
Nikt mnie z panów nie powitał,
Jam nie umiał ich języka.

Ej! — chybiłem wioskę pono —
Dla starego to rzecz nowa —
Tu po polsku ni pół słowa,
A o sztabie mi mówiono.

Wreszciem poznał tych ichmości:
To Francuzi niezawodnie,
Których wódz chce uczcić godnie,
By znał Francuz—że tu gości.

Gdy tak myślę, z miną tęgą,
Jeden na wiarusa wpada:
A hultaju — a ciemięgo,
Przydymiona czekolada.

Bracia szlachta niech nam żyją!
Wszak to nasi nie Francuzi,
Ale warto im dać buzi,
Znać, że się za swój kraj biją, —
I żal mnie za serce ścisnął,

Ukończono wreszcie gody,
Jam się z raportem przecisnął,
Wziął go jakiś panicz młody —
Wziął, przeczytał, na stół rzucił —
A kiedy tak, to źle panie,

Jakąś pioskn̨ę przez nos nucił,
W końcu rzekł mi niespodzianie:
„Korpus rozkaz tam dostanie.”
„To pułk tylko” rzekłem skromnie
„To pułk tylko? — wielkie zwierzę
„To i o nim się tam wspomnie.
„Wiarus wódki się napije,
„Bo ja to znam doskonale,
„W pułku się tam licho żyje...”
A co tego, to zawiele,
„A więc, panie, rzekłem śmiele: —
„Nie tak licho, jak niegrzecznie,
„W pułku trochę niebezpiecznie. —
„Co do wódki, z nami kwita,
„Bo mam moją od prusaka,
„A choć może i nie taka,
„Milsza dla mnie bo zdobyta. —
„Bądź zdrów, panie kapitanie,
„Niech was jasny piorun trzaśnie —
„Wkrótce wasza gwiazda zgaśnie,
„I nic po was nie zostanie. —

— Tak burknąłem im przez zęby,
Gdyby mi się popadł który,
Toby poznał, jak Mazury
Kpów pytlują na otręby —
I wyszedłem; na spiekocie
Koń mój biedny stał przy płocie,
Z głową na dół pochyloną.
Oj nam obu źle tu pono,
Pójdź mój koniu, źle w tej stronie,

Klątwa wszystkich na niej leży,
Tutaj piorun ich uderzy,
Albo ziemia ich pochłonie,
Że tak służą tej krainie.

Siadłem na koń ledwo żywy,
Ból uczułem w każdej bliźnie
Żem się musiał ująć grzywy.
Chciałem zginąć powiem szczerze,
Gdy się lepiej wiek strawiło,
Lecz dziś i kula nie bierze...
Nie tak panie, przedtem było!

GAWĘDA WIARUSA.

Jeśli puścisz wzrok po błoniu,
Ujrzysz chatkę na ustroniu,
Chatkę starą, nizką, białą,
Pochyloną prawie całą...
Dach jej zgarbion ugiął głowę,
Leżą na nim liście płowe,
Z drzew stojących na około,
Które dumnie wznoszą czoło,
I jak gdyby strzegły chaty,
Wysunęły dąb na czaty.
Dąb pochyły z ławką małą,
Gdzie siadywał wojak: Dusza,
Z wąsem siwym, czapką białą,
Z szablą starą u kontusza.
Wszak to wojak zawołany,
W bitwach rącze wodził tany,
Był w Hiszpanji za cesarza,
Z długą wokół czoła blizną;
Łeb przyprószył czas siwizną,
Kark ugięty od bagaża,

Miło słuchać, gdy pod drzewem
Siędzie bając na wpół z gniewem,
I do siebie dziatwę nęci:
W ręku stara drga szablica,
Promienieją ogniem lica:
Czasem łza się w oku kręci...

A gdy dziatki go okrążą,
Wieńcem z rącząt go obwiążą;
To żołnierza nawet bawi...
Więc odburknie się z uśmiechem,
Że aż lasy wtórzą echem,
I tak im swe życie prawi:

„Het mosanie! czas już mija,
Lgnie do ziemi stara szyja,
Gdy człek wspomni młode lata...
I gdzież dawna moja siła?
Starość rękę mą skurczyła,
Czas już ruszyć z tego świata!
Tak, mosanie! Nie wie młody,
Co za klejnot ma z swobody,
Gdy starości jest zdaleka,
Cóż, żem silny, zdrów na duchu;
Gdy mi braknie sił i ruchu:
Tęgi, śmiały — lecz kaleka!
Kolej życia mi już zbrzydła,
Śmierć niedługo złapie w sidła:
Jej i szabla nie zagrozi!
Choćbym śmiało stawił czoło,
Gdyby wróg tu stał w około...
Jednak starość krew już mrozi...

Nie tak żyło to przed laty!
Człek był silny, zdrów zakaty!
Pląsał śmiało po tym świecie...
— Lecz ja nudzę, moje dzieci!
Wieczór blizki czas już leci,
A wy jeszcze nic nie wiecie...“

Ot! w Zakraju — pięknej włości,
Którą trzymał podstarości,
Żyła moja dobra matka...
Przy niej bąki to zbijałem,
Ojca wcale nie widziałem,
Bo legł — walcząc do ostatka...

Młodość moja, miły Boże!
Tak przebiegła jak wód morze...
Że aż wspomnieć dzisiaj miło...
Co za ogień lśnił w mem oku,
Gdym szabelkę czuł przy boku,
Rzekłbyś — we krwi się paliło!
Nie ma drzewa, panie miły,
Z którembym nie zmierzył siły...
Pląsać, skakać, biedz przez pole,
To najmilsze me swawole;
Wszędzie byłem — w piekle chyba,
Noga moja nie postała!
Szabla też nie próżnowała!
Byłem w bitwie pod Możajskiem,
I pod Moskwą, Elstrą rzeką,
I Bóg sam wie jak daleko!
Aż do wstęgi się dobiłem!...

Niechaj każdy tu uważa!
Dostać wstążkę od cesarza,
Jak się zdaje — rzecz nie mała!
Trzeba bić się oczy w oczy,
Choć twe oko śmierć już zoczy,
Tam gdzie rozkaz jenerała!
Bić się rączo... w lewo! w prawo!
Zawsze dzielnie, zawsze żwawo...
Prosto w ogień! Het, mosanie,
Czasu na to i nie stanie.
Bym chciał skreślić bitwy swoje:
Bo co człowiek widział w świecie,
To nie spisać i w kajecie:
Tak się snują myśli roje...
Jednak gdy przypomnę sobie,
Co się działo ze mną z razu,
Aż mnie na śmiech się zabiera,
Jakem zwiódł raz grenadjera,
Mimo woli lecz z rozkazu.

Gdyśmy weszli do Granady,
Posłał kapral mnie na zwiady,
Bo przez kilka coś miesięcy,
Nie robiliśmy nic więcej,
Tylko zawsze zwiady, czaty.
Był to kiepski czas zakaty!
Siedzieć ciągle, czyścić bronie,
Siodłać konie, zjeżdżać konie;
Zawsze w pracy, zawsze w znoju
Być niepewnym godzin boju:
Ej! wolałbym tysiąc razy
Pełnić sroższe wręcz rozkazy,

Iść do szturmu, w lewo, w prawo,
To i człowiek idzie żwawo...
Tu zaś — pilnuj się, mosanie,
Patrz czy wróg cię nie zastanie
Smacznie śpiącym w pustem polu,
To i zmudno.

Otóż w naszym pułku, panie,
Był grenadjer. Cięta sztuka!
Łeb miał czarny jak u kruka,
Krzyżyk legji na kaftanie.
Chłop był tęgi, dzielny, śmiały,
Lecz miał jeden błąd nie mały:
Zamiast wody — spijał wino...
Więc gdy się spił już jak bela,
Chociaż zdala wróg doń strzela:
On nie zważa. Pod drzewiną
Staje z koniem — nogę w strzemię,
I w najlepsze sobie drzemie,
Nawet gdy był na szyldwachu...
Myśmy zawsze byli w strachu,
By mężnego grenadjera
Raz nie sprzątnął Hiszpan srogi;
Bo jak Hiszpan wręcz naciera,
Zaraz wpija w bok ostrogi...
My więc chcąc mu dać naukę,
Układamy taką sztukę.

Raz znalazłem w placu boju,
Kilka płaszczów, dwa czapraki,
W każdym płaszczu, po naboju,
I hiszpańskie mantelzaki.

Jam to doniósł wachmistrzowi,
Co zrobimy z grenadjerem,
Gdy się ptaszek w sidła złowi.

Dzień się już miał ku schyłkowi,
My na siebie bierzem płaszcze,
Tak jak noszą je Hiszpanie;
Fajkę każdy włożył w paszczę,
Każdy sztylet miał w kaftanie.
— Trzeba wiedzieć, że kamraci,
Niech im Bóg za to odpłaci,
O tym spisku już wiedzieli,
I do niego należeli. —

Patrzym! na rozstajnem błoniu
Stoi wiarus na szyldwachu,
Oparł głowę swą na koniu.
Gdyśmy bliżej postąpili,
Uczuliśmy po zapachu,
I po oczach co jaśniały,
Że choć myśmy też wypili,
Każdy spory haust gorzały,
To grenadjer pił w dwójnasób,
Że aż wąsy mu sterczały!

Więc podchodzim doń w milczeniu,
Bronie z olster wyjmujemy;
Pas ścinamy przy strzemieniu,
I w tył ręce związujemy...
Bo grenadjer gdy był spity,
Tak spał twardo jak zabity!
Ja podchodzę:—„Gdzie broń twoja!?"

Mówię doń obcą manierą...
Błysły oczy u opoja. .
He, bon giorno cobbalero!
Tu grenadjer skoczył z siodła,
Chce do olster — broni nie ma!
A sznur silnie ręce trzyma...
Zdrada widać go ubodła...
Więc ze złości się aż zżyma...
„Zdrada! — krzyknie, — hej kamraty!
„Tu Hiszpanie są, psubraty!”

My wiążemy grenadjera,
Chociaż silnie się opiera...
Nolens, volens, my na konie
Stępel w usta, czyścim bronie,
Ja na migi mu wskazuję,
Że tu śmierć mu się gotuje,
Więc żeby się wyspowiadał.
A gdym mu to wszystko gadał,
Inny chustą wiąże oczy,
I do bliskiej ściany toczy.

On — choć wściekłość nim miotała,
Stanął cicho, głowa w górę;
My na rozkaz jenerała,
Paff! z fuzyjek — ale w chmurę...

Wiarus patrzy — kuli nie ma,
Więc ze złości się aż zżyma;
— „Cóż to! czyli się boicie,
„Czyż wy mierzyć nie umiecie?”

My w śmiech. Płaszcze odrzucamy,
Jemu chustkę z ócz zrywamy.
„Bracia! cóż to!” — on zawoła...

I któż to opisać zdoła?
Jemu łzy się potoczyły,
I choć jeszcze był podpiły,
Jednak poznał figiel braci,
Przeczuł żarcik ów kamraci
„Więc to, rzecze, — żart haniebny,”
A my na to: — „Lecz potrzebny;
Bowiem gdyby nie ta sztuka,
Tobyś pewno już był w grobie,
Niech ci służy ta nauka,
Niech nie świta we łbie tobie!”

Odtąd wiarus nie pił wina,
Bo gdy kiedy chciał je, panie,
Każdy wówczas przypomina:
„Ej! zabiją cię Hiszpanie!”

Aleksander Kraushar.

Fr. Kowalski.

KASZA ZE SZWEDAMI.

(Gawęda żołnierska).

Dawno już temu, nie pamiętam kiedy
Bo mnie starego często pamięć myli,
Kiedy łakome kraj zalały Szwedy,
Kiedy Polacy z Czarneckim walczyli...
A ten Czarnecki był to gracz mospanie!
Zwijał się w wojnie jak w obfitem żniwie!
Tam znikł, tam napadł, urwał niespo-
[dzianie
Jak biegł to żwawo—jak bił to uczciwie.

I Szwed i Polak w nieustannym boju
I chwili jednej nie mieli pokoju,
Ledwie gdzie szwadron stanął na noclegu,
Ledwie się żołnierz zabierał do kaszy
Patrzaj! placówka bieży do szeregu,
Paf, paf! i raptem cały szwadron straszy
Wnet: na koń! na koń! nieprzyjaciel
[blizko,
rzepadła kasza, zduszono ognisko.

Hej! hej! mospanie ile razy wspomnę,
Różne historje owych dawnych czasów,
Owe naddziadów męztwo nieprzełomne
Ową chęć sławy i krwawych zapasów.
Krew we mnie kipi, zda mi się żem
[młody
Żebym pokonał: mróz, głód, niewygody,
Żebym dziś jeszcze wskoczył na szkapę
I porwał dzidę, albo szablę w łapę.

Jakże w tych znojach człowiek zdrów
[i krzepki
Chyba przypadkiem kula go w łeb gwiź-
[nie;
Ha i cóż robić?... Człowiek od kolebki
Winien swe życie poświęcić Ojczyźnie,
Słuchajcie: ongi, kiedy Polska cała
Kipiała wojną, a Szwed dokazywał
Gdy go Pan Stefan szarpał i urywał,
Taka się w wojsku historja stała.

Niewiem, nad Wisłą czy też nad Pilicą,
Jeden nasz hufiec stanął na spoczynek,
A że pan Stefan latał błyskawicą,
A kiedy huknął — to nie lubił drwinek,
Trudno więc było spać albo się gapić,
Tu trzeba prędko najeść się i napić
By na głos trąbki: „na koń! szable w górę!"
Tym szwedzkim drabom tatarować
[skórę."

Naprędce tedy ze swych koni zsiedli
I nuż przy ogniu do jagieł, kociołków,
Gotować kaszę, — zgotowali, zjedli
Siedząc na ziemi — bo niebyło stołków.
Lecz ledwie człowiek dwie łyżki zjeść
[zdołał,
Gdy „na koń! na koń!” towarzysz zawo-
[łał.
Tu niema czasu mospanie... A kasza?
Przepadła!... „na koń! dobywaj pałasza!”

Szwedzkie rajtary mignęły się z boku,
I kiedy wszyscy w tej gorącej chwili,
I koniom dojeść nie dali obroku,
Jednemu z braci, co jak wszyscy djabli
Był zły... bo głodny, choć zajrzał do
[flaszy
Żal było smacznej, dymiącej się kaszy
W mig więc nim na koń siadł i dobył
[szabli,
Gorącą kaszą swe sakwy natłoczył
I za swem siodłem do konia przytroczył.
Zawrzała bitwa, więcej było Szweda,
A więc na naszych śmiało nacierali!
Ale nasz wojak z ramieniem ze stali,
Nikomu w męztwie wyprzedzić się nieda—
I leci naprzód!... lata jak szalony,
Macha a macha... tnie na wszystkie strony,
Ale rajtarskie odbijając miecze
Nie wstrzyma konia, bo go kasza piecze,
I wpada z kaszą w szyki nieprzyjaciół,

Co on ich nabił, narąbał i naciął!
A wiara widząc jak on dokazuje
Jak wpadła w środek między szwedzkie
[szuje,
Wszystkich mospanie wybiła, wysiekła,
A za to kasza dobrze konia spiekła.
I już po walce, tak to nasi ćwiczą
Każdy z wojenną powraca zdobyczą.
Szwedy rozbite a w ręku junaków
Pełno pieniędzy, broni i rumaków,
Wszyscy się cieszą i zgodnemi głosy
Męztwo koleżki wznoszą pod niebiosy.
„A to bohater! a to sztuka tęga!
„To zuch mospanie!... a zwał się Ordęga,
„Wiwat Ordęga! A teraz po znoju,
Gdy Szwedy zbite i zwycięztwo nasze,
„Siadajmy bracia znów gotować kaszę,"
„Szanowni bracia, mościwi panowie,
Odparł Ordęga: „to nie cześci wiele,
„Żem ja na Szwedy szedł na waszym
[czele,
„Ale to nie ja, tak mi Bóg daj zdrowie,
„To moja kasza." I tak jak się stało
Pewiedział braciom historję całą.
Więc nowy okrzyk: „Wiwat! wiwat!
[kasza!
„Kiedy nam przez nią takie laury rosna,
„Mądraż to sztuka! niechciała być postną
I oto szwedzkim sadłem się okrasza.
„Dobra więc wróżba! Szwed już nas nie
[straszy,

„Bo ani wątpić, że zjemy go w kaszy!
„Żwawoż do łyżek! jedzmy ją na zdrowie!
„A niech się kaszą ze szwedami zowie.
I tak się stało, kasza ze skwarkami
Po dziś dzień zwie się kaszę za szwedami.

Jan Chęciński.

KOŁEK BRONOWY.

(Fraszka żołnierska).

Z pod Saragossy, wojak stęskniony
Wraca powitać ojczyste strony;
Darł się jak tygrys, rąbał jak mistrze,
Toć za to dźwiga pustki w tornistrze,
Na grzbiecie mundur skiereszowany,
Na piersi krzyżyk, pod nim dwie rany,
Na czole szramę i kulkę w biodrze,
Ot! los wojaka obdarzył szczodrze!...

Wraca radośnie, lecz coś nie sporo,
I choć sękatą zbrojny podporą,
Z czasu do czasu syknięcem wyzna,
Że ta, lub owa dolega blizna,
Że kiedy w biodrze hiszpańska kula,
Trudno udawać biegaczów króla!

Syknie i wolniej omija łany,
Chyba, gdy zoczy kościołek znany,
Starą dzwonnicę, pochyłą wieżę,
Albo znajome sioło dostrzeże,
Wstrzyma się chwilę, bije mu serce,
Już zapomina i o żołnierce.
I mniej dolega noga przebita,
Tylko ze łzami te pola wita,
Co swem powietrzem, co wonią swoją,
Ciała i ducha boleści goją!

Stanie, poduma, Boga pochwali,
I pokrzepiony wędruje dalej.
  Słońce zachodzi, noc nie daleko,
Rodzinna strzecha za trzecią rzeką,
Jeszcze do domu nie mało drogi,
A już do reszty ustają nogi;
Trzeba posiłku, spoczynku trzeba,
W tornistrze niema kawałka chleba,
Ale w pobliżu bieleje wioska,
Po nad chatami Opatrzność Boska.
W chatach mieszkają drodzy ludziska,
Toć nie odmówią mu przytuliska!
A choć i takich spotkać się zdarzy
Co odprawiają z niczem nędzarzy.
Przemyślny wiarus spokojny o to,
Trafić do serca jego robotą,
Przyjaznem słówkiem, żartem na dobie,
Niewinną psotą, zjedna je sobie,
I choć na wstępie zagrożon klęską,
Zawsze w ostatku wyjdzie zwycięzko;

Umiał się przedrzeć na Pireneje,
Toż mu nie łatwo tracić nadzieję!
Więc trochę prędzej naprzód się zbliża,
Aż na rozdrożu, około Krzyża,
Odkrywszy głowę, jak wszyscy wierni,
Spostrzegł na ziemi, że się coś czerni.
Zwykle co w myśli, to przed oczyma,
Chleb u głodnego pierwszeństwo trzyma.
Toż wojak, sądząc, że łaska nieba
Zsyła mu w porę krajankę chleba,
Schylił się żwawo. . lecz zawiedziony,
Pochwycił w rękę *kołek od brony.*
Posmutniał biedny; — ha! myśli sobie,
Toć że i z tego użytek zrobię;
Chleb byłby lepszy, już to rzecz pewna,
Ależ go upiec trudno bez drewna,
I to się przyda, pod chleb podpali,
Więc do tornistra! — I ruszył dalej.
Doszedł do wioski, do pierwszej chaty,
Prosi o nocleg wiarus wąsaty,
Ale na wstępie, coś gospodyni
Nie zbyt pocieszną nadzieję czyni,
Coś jej nie wzrusza stary kaleka,
Na ciężkie czasy przed nim narzeka,
Bolesnym skargom rozpuszcza wodze
Jak mąż daremnie pracuje srodze,
Jak się i ona krwawo mozoli,
Jednak nie zdoła przemódz niedoli;
Aż zakończyła w sposób najgładszy:
„Panie żołnierzu, niech Bóg opatrzy!"
Ale się żołnierz ułudzić nie da,

Pozna gdzie dobrze, pozna gdzie bieda;
Spojrzał po izbie—i jakoś wcale
Nie mógł uwierzyć w udane żale;
A suty ogień co grzał z kominka,
A przy tym ogniu garnek i rynka,
A z rynki zapach głodnemu miły,
Kłamstwo gosposi całkiem zdradziły.
„Ha!—rzecze zatem; kiedy w komorze
„Strudzony kąta znaleźć nie może,
„Toż go obdarzcie wytchnienia chwilką,
„Dajcie u ognia ogrzać się tylko,
„Więcej nie żądam, bo na złe czasy,
„Noszę w tornistrze własne zapasy.
„Siedzi w nim sztuczka!... w skorym za-
[pędzie
„Przyporządziwszy, rosół z niej będzie!"
I raz powziąwszy koncept do głowy,
Wyjął z tornistra *kołek bronowy*.

— „O święty Jezu! to z każdej strony
„Wygląda jakby kołek od brony!...
„I z tego rosół?"...
— „Czekajcie matko,
„Jak się opłucze, oskrobie gładko,
„Trochę posoli, trochę opieprzy,
„To i w Hiszpanji nie bywał lepszy!"
Więc gospodynię ciekawość zdjęła,
A zmyślny wiarus, dalej do dzieła!
Aż mu z pośpiechu ręce się trzęsą;
Płucze, żałuje, niby to mięso,
Nalewa wodą, do ognia stawia,

I jeszcze bardziej ją zaciekawia.
Po chwili w garnku burzy się, pieni,
Żołnierz tymczasem szuka w kieszeni,
Szuka w tornistrze, aż mimowoli
Gosposia pyta: — „czego brak?”
— „Soli!”
— „No, bieda ciężka, słowo nie płoche,
„Ależ znów soli znajdzie się trochę.”
I miarka soli wleciała w wrzątek;
Żołnierz pomyślał: — nie zły początek!
Więc po przestanku, przebiegła sztuka,
Znowu w tornistrze szuka i szuka.
— „Czegóż wam braknie?”
— „At!... nic!... widzicie,
„Różnie się rosół jada w Madrycie;
„Raz, z kartoflami jedzą z ochotą,
„Niekiedy z grochem, lub kluski gniotą,
„Ale że kluski zajęciem straszą,
„Więc w Saragossie najlepszy z kaszą!”
— „A to jak u nas!... jeno nam bieda
„Nawet od święta rosołu nieda!
„Niepomnę smaku, pustki w komorze!
„No, aleć kaszy znajdzie się może...”
I zabawiwszy wcale niedługo,
Wsypała garstkę jednę i drugą;
Aż żołnierzysko pokręcił wąsa,
I znów warząchwią kołek potrząsa,
Miesza przyprawę w tę i w *tę* stronę,
Wreszcie rzekł: „szkoda, że nie kraszone!
„Na Pirenejach sposób jedyny,
„Dodawać smalcu, albo słoniny,

„Lecz w Pampelonie ta moda zgasła,
„Jak nie ma sperki, dodają masła..."
— „Oj! biedaż bieda! ciężkie to czasy!
„U nas się rosół je bez okrasy!...
„Ale że krówkę mamy w oborze,
„Toć krzynę masła wynajdę może."
I wynalazła, — aż żołnierzysko
Zasalutował przed pełną miską!
Okrasił owoc ciężkich obrotów
I rzekł: „Bóg zapłać, rosół już gotów!"
Gosposia patrzy: — „O Matko nasza!
Dyćże ten rosół rychtyg jak kasza!
Jeno że trochę pachnie żywicą..."
— „Żołnierze chętnie takim się sycą;
„Tylko widzicie, że w stronach owych,
„Czasem nam brakło kołków bronowych!

BŁOGOSŁAWIENSTWO.

opowiadanie starego żołnierza z czasów wojny hiszpańskiej.

przekład dowolny

Włodzimierza Zagórskiego.

Owóż w roku „dziewiątym“, młody mój kolego
Wzięliśmy Saragossę — forteca niczego
Niby krwawnik w sygnecie, osadzona w Sierrach
Byłem wtedy sierżantem w gwardji woltyżerach
Po wyjściu mem z szpitala dziennym ordy-
[nansem
Przeniesion tam z legionów z wstążką i awansem
Bo podczas gdym się z ran mych lizał w lazarecie
Poszli nasi murzynów bić aż w Nowym Swiecie
I tak, sierota Polak, z łaski tych tu guzów,
Dostałem się sam jeden do pułku Francuzów

Więc byłem—jak to mówią—już nie w pierw
[szem polu

Obszedłszy od piramid hen! do Neapolu,
Niemal połowę świata z karabinem w ręku; —
I bywałem w bataliach, gdzie nieraz od lęku
Najmężniejszym na głowie dębiły się włosy; —
— Ale to wszystko furda wobec Saragossy!
Straszne to były jatki! Dzień sądu prawdziwy!
I nieraz sam się dziwię, że cały i żywy
Wyszedłem z tych opałów, Od świtu jak snopy
Padali nasi,—wreszcie wzięliśmy okopy.
Wchodzim breszą do miasta, mospanie aż owo,
W mieście trza było walkę zaczynać na nowo
I brać szturmem dom każdy, zkąd ukryty zdradnie
Gradem nas kul zatrutych raził wróg szkaradnie,
Więc traciliśmy ludu mnogo z każdym krokiem,
Wiara, walcząc od świtu z krwią nabiegłem okiem
Z usty, od rozrywania tulejek ładunku
Czarnemi. spieczonemi nie do pocałunku,
Klęła wroga, co walczył chytrą zdradą węża,
Szepcąc sobie po cichu, że „to winni księża!"
Więc gdy się gdzie pojawił kaptur jaki skrycie,
Unoszący zaułkiem swe mizerne życie,
To bez namysłów długich, z przyjemnością prawie,
Tłukliśmy tę hołotę, jak kaczki na stawie.

Batalion nasz w kolumnie szedł wązką ulicą,
Ja byłem w awangardzie, sto kroków za szpicą,
I kroczyłem w mej czwórce, okiem w lewo prawo
Wodząc czujnie po dachach. Poj nad bitwy
[wrzawą,
Przygłuszając huk strzelby i oręża szczęki,
Wzbijał się płacz i kobiet mordowanych jęki.

Powietrze wrzało skwarem tak jak piec wapiarni,
Słońce nakształt ogromnej czerwonej latarni
Przyświecało ponuro z poza dymu słupów;
Co krok przełazić wały wypadało trupów,
Lub omijając rannych krwawe deptać błoto;
Domy, podziurawione od kul jak rzeszoto
Przybierały zdradliwie pustkowia pozory;
Żołnierze wstępowali w te plugawe nory,
Chyłkiem, ostrożnie, ciszkiem, pełzając jak krety,
A potem z czerwonemi wróciwszy bagnety,
Ocierali stal ręką i kładli na mury
Dłonią we krwi zbroczoną znak krzyża ponury,
Świadczący, że zrobiono w tym domu porządek;
Bo w tych zaułkach strasznych radził nam roz-
[sądek,
Zabezpieczyć się dobrze, nim człek stąpił nogą,
Że się nie zostawiło za sobą — nikogo.

Szliśmy bez tarabanów, bez trąb i piszczałki;
Starszyzna w zamyśleniu; nawet stare śmiałki
Wiarusy, łokciem pilnie szukający czucia, —
Markotni, jakby marła w nich dusza rekrucia.
Nagle — u skrętu owej wąziutkiej ulicy —
Ostrzeżono nas basłem alarmu od szpicy;
Stajem... krzyk słychać „*A l'aide!*“ po naszemu:
[„Ratuj!“
Skoczyliśmy w te tropy, bronie wziąwszy na
[„Tuj!“
I wpadliśmy w sam środek grenadjerów roty,
Co pierzchali haniebnie przed garstką hołoty,

Broniącej krucht klasztoru przed naszym na-
[padem.
Było tam zdwie dziesiątki mnichów z licem
[śniadem,
Z golonemi głowami i w kucie odartej,
Z rękami zbroczonemi we krwi — istne czarty!...
Którzy na karki naszych usiadłszy żołnierzów,
Sromotnie mordowali ich — drzewcami krzyżów.
Był to widok okropny! — Salwą plutonową
Daliśmy ognia w straszną kupę mnichów ową;
Mściwie, złośliwie, z wściekłą zajadłością zbirów
Zmietliśmy tę okropną garstkę bohatyrów,
Bo żołnierz był już bojem strudzon niewymownie
I czuł w sercu katowską złość a w mózgu głownie.
Ujrzeliśmy przed sobą czarne mnichów trupy,
I potok krwi, z pod ciał tych po wschodach
[płynący,
— I w głębi kościół czarny, ponury, milczący.

Razem z całym plutonem, krocząc jakby senny,
Wszedłem do tej świątyni. Był to gmach ka-
[mienny,
Ponury, pełen dymów smętnego jałowcu,
A cicho wewnątrz było, jak gdyby w grobowcu,
I jak w grobowcu zimno. Ołtarzowe świece
Migały chorym blaskiem, jak one gromnice,
Co na mogiłkach wiejskich płoną w dzień Za-
[duszek.
U wielkiego ołtarza stał kapłan staruszek;
Do ofiarnego stołu obrócony twarzą,

W ornacie, w pośród świec tych, co się smętnie
[jarzą.
Samotny tak jak palec i bielszy od mleka,
A wzrostem po nad miarę wyniosły człowieka,
Stał kończąc Służbę Bożą, zatopion w modli-
[twie,
— Jak gdyby ani wiedział o wrogu i bitwie.

Okropne to wspomnienie tak mi się w mózg wpiło,
Że go już ztamtąd żadną nie wydobyć siłą,
Że mię się będzie pewnie nawet w grobie śniło,
Bo dziś gdy waszmość pana tą powieścią bawię,
To widzę tutaj wszystko—wszystko jak na jawie,
Te czarne trupy mnichów, ten klasztor ponury,
Tą krwią dymiącą schodów pluszczące marmury,
Ten dym, a nad nim słońce niby Boskie oko,
I tę bramę kościelną rozwartą szeroko,
I onego kapłana w blasku świec jarzących,
I nas, jak w ziemię wrytych i—prawie tchórzą-
[cych.

A teraz mi wypada przyznać waszmość panu,
Że choć, jak u nas, dzieci włościańskiego stanu,
Wychowany zostałem w domu bogobojnie,
Tom już stracił był wiarę w obozach i wojnie,
I kląłem już z francuzka na czem świat ten stoi;
Ba nawet raz by dowieść, że człek się nie boi
Ani Boga ni djabła, przy szturmie kaplicy
Zapaliłem mą lulkę u ołtarnej świecy;
Więc zgadniesz, żem przesądów nie miał i za
[szeląg,

— Lecz ten ksiądz był tak biały, żem się go aż
[przeląkł!
— Pal! — zawołał oficer.
Nikt nie drgnął. Wśród ciszy
Musiał ksiądz głos ten słyszeć pewnie, lecz, że
[słyszy
Nie dał poznać—i niczem nie zdradzając lęku,
Zwrócił się do nas twarzą z swą monstrancją
[w ręku,
Jak to czynią kapłani, gdy pod koniec sumy
Zwracają się do wiernych, błogosławiąc tłumy.
I widzieliśmy wszyscy, gdy za mgłą kadzideł
Z ramiony wzniesionemi w górę na kształt
[skrzydeł,
Stał jakby na obłoku, kreśląc krzyż w przestrzeni
Że nie drży,—więc spokojem jego przerażeni,
Cofnęliśmy się wszyscy. On wznosząc głos słodki,
Spokojny, jakby przed nim tu stały dewotki
Nie wróg, dyszący zgubą jak wulkanu krater.
„*Benedicat vos* — rzecze — *omnipotens Pater*“
A w chwili, gdy swym głosem echa budził śpiące:
— Pal! — wrzaśnie oficer. — Wy tchórze zające!
Wtedy łotr jakiś podły choć żołnierz nazwiskiem,
Wziął na cel, i wypalił. Śmiertelnym pociskiem
Tknięty, zbladł starzec strasznie ale niezachwiany
Nie spuszczając z nas oka, gdzie śmierci blach-
]many,
Ponury lecz spokojny blask rozświecał męstwa,
Nakreślił znów w przestrzeni znak błogosławień-
[stwa,
Mówiąc zwolna: „*Et filius.*“

Ach niewiem do dzisia,
Zkąd się w żołnierzu wzięła ta dzikość tygrysia,
Dość na tem, że strzał nowy przeszył pierś ka-
[płana,
Starzec dłoń jedną wsparłszy na ołtarzu Pana,
Drugą podniósł raz jeszcze monstrancję do góry,
Że świeciła jak słońce wpośród dymu chmury,
I, kreśląc po raz trzeci znamię przebaczenia,
Głosem cichym złamanym, lecz w pośród mil-
[czenia,
Słyszałbym—gdyż zgiełk, cisza zastąpiła głucha,
Rzekł: —„*Et Spiritus sanctus!*“ —
i upadł bez ducha.
Monstrancja się stoczyła po schodów marmurach
Budząc brzękiem swym echa w kaplicach i chó-
[rach,
Trzymając broń do nogi, nawet wygi stare
Patrzaliśmy na mord ten i na ofiarę.
Niemi—jakby złamani tym strasznym widokiem.
A podczas gdyśmy stali tam z wilgotnem okiem
Z głową, ciężko zwieszoną, na pierś bez oddechu:
— „*Amen!*“—zaryczy dobosz, krztusząc się od
[śmiechu.

OPOWIADANIE CZWARTAKA.

I.

To, co przeszło, minęło,
Co się śniło i było,
W krwawej rosie spoczęło,
Pod mogiłą! mogiłą!

Snem się dzisiaj wydają
Owe krwawe zapasy —
Inni byli to ludzie!
Inne były to czasy!

Jeśli o tem przypomnisz,
To łza w oku zabłyśnie,
To ci kamień tak ciężki
Stare serce przyciśnie!

Lepiej milczeć w zadumie,
Snuć przeszłości przędziwo
I tę przeszłość kochaną
Widzieć sercem jak żywą!

II.

Błysnął gromem listopad,
Ów dwudziesty dziewiąty,

Buchło ogniem zarzewie,
Zapaliły się lonty.

Podchorążych oddziały
Przebiegały Warszawę,
Śniła młodzież zapalna
Laur zwycięzki i sławę.

Już zdobyto arsenał,
Broń zabrano pośpiesznie,
Biegną tłumy ogromne
Do więzienia na Lesznie.

Noc od ogni czerwona,
Od wystrzałów hucząca
Przeszła—wschodzi nad miastem
Promienisty krąg słońca!

III.

A służyłem ja wtedy
W czwartym pułku piechoty,
Co to słynął z swych figlów
I z rycerskiej ochoty.

Bogusławski pułkownik
Tak jak z braćmi żył z nami,
Nieraz gwarzy, bywało,
Ze swoimi zuchami.

Żołnierz w pułku tym gracki,
I na wszystkie chwat kanty,

Upodobał go sobie
Wielki książę Konstanty.

Gdy obaczy „posyłkę“
Zaraz wita kamrata:
Jeno sprawuj się składnie,
Masz pewnego dukata!

IV

Wszystko byłoby dobrze,
Wszystko zgoła gotowe:
Żołnierz, pierwszy w Europie,
Jeno trudno o głowę!

Jakoś kręci Chłopicki
I wymyka się snadnie,
Zali wierzy — nie wierzy?
Chyba jeden Bóg zgadnie!

Niby to się już zgadza,
Bierze rządy naczelne;
Saragosy bohater
Myśl i serce ma dzielne.

Alić długo otuchy
Żołnierz z niego nie żywił:
Ustępuje Chłopicki,
A dowodzi Radziwiłł.

V.

A tymczasem pod Stoczkiem
Już zagrzmiały armaty,

Na bój lecą krakusy,
Kolorowe by kwiaty.

Żołnierz nowozaciężny,
Ale bitny, jak mało,
Gdy wyskoczył do szarży,
Aż się niebo zaśmiało.

Nasz Dwernicki jenerał,
Napoljończyk, mospanie,
Nie da sobie pluć w kaszę:
Czego zechce — dostanie!

Wali prosto na wroga,
Nie ukradkiem, nie boczkiem,
I krakusy już nucą
O zwycięztwie pod Stoczkiem!

VI.

Idą wojska Dybicza
Pod stołeczną Warszawę,
Ciągną kruków zastępy
Na boiska, na krwawe.

Ciągną kruków zastępy,
Kraczą w górze ponuro,
Ale w sercach nadzieja,
Chociaż słońce za chmurą.

Na równinach Grochowa,
Wnet zakipi bój srogi —
Żołnierzyku - nieboże,
Szykuj-że się do drogi!

Szykuj-że się do drogi
Przez ten wielki bój krwawy:
Albo prosto do grobu!
Albo prosto do sławy!

VII.

Wziął dowództwo naczelne
Sam Chłopicki jenerał;
W jego oczach nasz żołnierz
Łatwiej będzie umierał.

Pamiętają go jeszcze
Stare chwaty—kamraty,
Kiedy głosem komendy
Przekrzykiwał armaty.

Na złotawym kasztanku,
W swoim starym rajtroku,
Mknie przed frontem jenerał
Ze swym sztabem przy boku.

I otucha napełnia
Młode piersi żołnierza, —
A wróg grę już zaczyna,
Ogniem z armat uderza.

VIII,

Między wrogiem a nami
Była sławna olszynka,
Grają huczne armaty,
Mija pędem godzinka.

Tę olszynkę odebrać
Nieprzyjaciel się stara:
Tam to walą armaty
Jenerała Gejsmara.

Ale Roland jenerał.
Żołnierz krewki i szczery,
Stawia swoją brygadę, —
Błyszczą czarne giwery.

Z karabinów palnęli
Na bagnety pobiegli —
Jeszcze nasza olszyna!
Wkoło leżą polegli!

IX.

Bataljonów ośmnaście
Na olszynkę znów wali;
Naszych dziewięć się trzyma
Krzepko, jakby ze stali.

Tam Żymirski dowodzi,
Wciąż szeregi obiega.
Wtem się wystrzał działowy
Z hukiem gromu rozlega.

Spada z konia Żymirski,
Blednie — leci w ramiona
Adjutantów — krew płynie —
I walecznie wódz kona,

Chwiać zaczęli się nasi,
Czynią odwrót — olszynę

Nieprzyjaciel zajmuje,
Dymy kłębią się sine.

X.

Przyszła kolej nareszcie
Na ochoczy pułk czwarty,
Żołnierz z bronią u nogi,
Stał od świtu — rozżarty!

Bogusławski pułkownik
Skinął szpadą — i falą
Pułki czwarty i ósmy,
Niby morska toń — walą.

Trzykroć nasi w olszynie,
Trzykroć cofać się muszą,
A Skrzynecki na froncie
Walczy sercem i duszą.

Na bagnety! las cały
Od bagnetów się jeży,
Znów olszynka zdobyta —
Stosy trupów żołnierzy!

XI.

A wtem granat rozpęka
Pod Chłopickim — koń runął
I jenerał naczelny,
Blady z konia się zsunął.

Rozpacz w jego obliczu:
Los się bitwy rozgrywa,

A on walczyć nie może! —
Polska lice zakrywa!

Polska lice zakrywa!
O rozpaczy! rozpaczy!
Widzi krzyżów tysiące
I tysiące tułaczy.

Zamieszanie wśród wojska!
Dreszcz je przebiegł śmiertelny!
Ranny stary Chłopicki!
Ranny wódz nasz naczelny!

XII.

Nieprzyjaciel w tej bitwie!
To mu przyznać należy,
Przeciw naszym atakom
Walczył z męstwem rycerzy.

Tam Warszawa patrzyła,
To w nadziei, to w trwodze,
Na to męstwo szalone,
Na żołnierze i wodze.

Hej, grochowska batalja
Słynąć będzie przez wieki!
Swiecić będzie, jak gwiazda,
Potomności dalekiej.

I wieść, w piosnkę zaklęta
Poprzez miasta i wioski,
Będzie mknęła nucąca,
O tej bitwie grochowskiej...

Or-ot.

BONAPARTE.

I.

Usiadł dziaduś przy kominie,
Złożył na krzyż zeschłe ręce:
Młodym chłopcom opowiada,
Jak to było na wojence.

Młodym chłopcom opowiada.
Napoljoński rapsod stary,
Dawne dzieje, dawnych ludzi.
Innej siły, innej wiary.

Hej, minęły dawne lata,
Ani wiatrem ich dogoni,
Kiedy parskał koń bojowy,
Kiedy szabla lśniła w dłoni.

Postarzała dawna młodzież,
A dzisiejsza licha warta,
Nie tak panie było niegdyś.
Za cesarza Bonaparta,

II.

Tam gdzie srebrne leżą śniegi
Tam. gdzie płynie Nil zielony,
Z orłowemi sztandarami
Napoljońskie szły legjony.

Szły legjony napoljońskie,
Gdzie je wodził Kapral mały,

Aż się niebo uśmiechało,
Aż się ludy dziwowały.

Toż batalie były dzielne,
Częstochowska Panno Święta!
Płakiwała matka ziemia,
Krwawą rosą przesiąknięta.

Do ataku jak na gody
Szła francuska gwardja stara,
Vive la France! Vive l'Empereur!
W imię Ojca! Naprzód wiara!

III.

Nie świeciły na cesarzu
Złote wstęgi srebrne chwasty,
Nosił surdut na mundurze
I kapelusz trójgraniasty.

Postać panie niby licha,
Jakaś kusa. jakaś drobna,
Do zdobywcy Europy
Ani za grosz niepodobna.

Ale spojrzyj w jego oczy,
Pod czarnemi lśniące brwiami.
Gdy przed bitwą front objeżdża
Otoczony marszałkami.

Ale spojrzyj na twarz bladą,
Co zachwyca, to przeraża,
Wtedy pójdziesz choć do piekła
Byle walczyć za cesarza,

IV.

Przy ogniskach biwakowych,
Gdy wojenne ścichły gwary.
Siadywały grenadjery
I ułany i huzary.

Lśniły czaka i bermyce,
Kirasjerów lśniły zbroje:
Wspominała stara gwardja,
Napoljońskie dawne boje.

Wtedy stawał przed źrenicą,
Kraj, daleki, kraj rodzony:
Mazowieckie nasze piaski,
Nadwiślańskie nasze strony,

Wtedy oczy wilgotniały,
Wtedy serce biło młotem
I szwoleżer płakać może,
Ale wara wspomnieć o tem.

V.

Hej, chadzaio się chadzało,
Po szerokim bożym świecie,
W dzień na koniu z szablą w garści,
A zaś nocą na lawecie.

Hej, śpią starzy towarzysze,
Pod palmami, pod brzozami,
Wieją po nich skwarne piaski,
Wieją śniegi tumanami.

Była Jena, Austerlitz,
Ejlau, Wagram i Arcole,
Zda się nosił Kapral mały
Nieśmiertelność na swem czole.

Zda się ziemię zawojuje
Rzesza męstwem uskrzydlona.
Aż pod Lipskiem i Waterloo
Zgasła gwiazda Napoljona.

VI.

Gorącemi strumieniami
Pod Waterloo krew się lała,
Jakby ziemia nad cesarzem
Krwawą rosą zapłakała,

Jakby ziemia zapłakała,
Nad cesarzem Napoljonem,
Co na bitwę patrzał zdala
Okiem łzami osrebrzonem.

I wydarli nam cesarza
I wydarli go na wieki,
Pod wierzbami płaczącemi
W obcej ziemi śpi dalekiej.

Śpi wygnaniec w obcej ziemi,
Gdzie go strzeże duchów warta,
Choć umiała konać gwardja
Za cesarza Bonaparta.

Krasiński Zygmunt. Poezje: Do kobiety. Głosy św Teresy. Zawsze i wszędzie. Koloseum. Pożegnanie. Po śmierci. Do Beatryczy. Głos szatana i inne . . . . . . Cena 15

Słowacki Juljusza. Ojciec Zadżumionych. – W Szwajcarji. Mnich. — Arab (poematy) . . . . Cena kop. 15

Marja, powieść Ukraińska. Napisał **Autoni Malczeski.** Cena kop. 10.

Sroczka Obrazek zaściankowy. **Adama Pługa** (wydanie miniaturowe z ilustracjami.) . . . . Cena 15

Lalka Żart satyryczny, wierszem napisał **Józef Jankowski.** (Wydanie miniaturowe. w oprawie). Cena k. 20

WIESŁAW Sielanka. **K. Brodzińskiego.** . . Cena kop. 5

Zachwycenie, Błogosławiona, Dzieci, Chata pod śniegiem, Złota kaczka. Poezje **Teofila Lenartowicza** . . . . . . Cena kop. 20

DJALOGI, MONOLOGI I DEKLAMACJE:

Wybór poezji z poetów polskich

I	Cena kop.	20	IV	Cena kop.	40	VIII	Cena kop.	20
II	„ „	40	V	„ „	30	IX	„ „	40
III	„ „	20	VI	„ „	40	X	„ „	30

Ostatnia próba. Dramat w jednym akcje przez **Wacława Szymanowskiego.** Cena kop. 15.

Strachy. Kaprys sceniczny w jednej odsłonie. Wierszem napisał **Józef Jankowski.** Cena kop. 15.

ZA FANT Zbiorek poezji do deklamacji . . Cena kop. 20

Toast Polski. Zawiera 104 toasty i przemówienia na uroczystości rodzinne, jubileuszowe, zebrania sąsiedzkie i t. p. . . . Cena kop. 40

WYDAWNICTWA ANEGDOTYCZNE I HUMORYSTYCZNE

ACH TE PANNY! (en face i z profilu) . . Cena kop 25

NASZE ŻONY i ŻONECZKI. Podpatrzył i podsłuchał Tentrzeci (wydanie II) . . . . Cena kop. 25

NASI MĘŻOWIE i MĘŻULKOWIE. w domu i za domem. Obserwował i do druku podał Tentrzeci. Cena kop. 25

KOBIETA. Zbiór Aforyzmów. Zdań. Myśli i Przysłów. Zebrał **Agrikola Prosper Doświadczyński** 20

Z CYKLU MONOLOGÓW CHARAKTERYSTYCZNYCH.

(Monologi i sceny żydowskie). Zeszytów 16 Cena zesz. **kop. 10.**